

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marii Staroszewskiej.

TOM I

24

— Dziękuję, madame.

Powstał z krzesła.

— Pani mi wybaczy flanelowy garnitur?

— Lubię to nawet, prawda Nigel?

Mówiła obojętnie, prawie machinalnie i weszła do domu.

W saloniku na stole, leżały w nierozzerwanych jeszcze opaskach dzienniki, nadesłane z rana. Wzięła jeden z nich ze sobą i kiedy się znalazła w swoim pokoju, otworzyła go, szukając kroniki światowej. Ah! oto notałka o Lady Harwich. „Urodziny dwóch synków bliźniąt hrabiosstwa Harwich, wywołały radość w towarzyskich kołach, gdyż Lord i Lady Harwich są ogólnie znani i poważani. Chrzest dzieci ma się odbyć w Królewskiej Kaplicy Pałacu St. James i Jego Królewska Mość będzie ojcem chrzestnym. Przed tym szczęśliwym wypadkiem spadkobiercą tytułu i przywiązanych do niego majątków był Honorable Nigel Armine, który niedawno poślubił dobrze nam znaną Mrs. Cheston i który jest od Lorda Harwicha o dziesięć lat młodszy”.

Teraz, widząc, że wiadomość ta jest wydrukowana, Mrs. Armine odczuła jeszcze dotkliwiej tryumf lady Harwich i swoją własną porażkę. Jaki uśmiech zadowolenia musiał widnieć na ustach wielu kobiet, ani trochę nie lepszych od niej samej! I Nigel ją w to wpakował! Wargi jej zadrgały na wspomnienie chłodnych, amerykańskich oczu Lady Harwich, która nieraz na nią spoglądała z wyższości żywej lecz uczciwej kobiety, co doprowadza do wściekłości kobiety nieuczciwej i z tego znane.

Położyła dziennik; podeszła do okna i wyjrzała. Z ogrodu wznosił się zapach kwiatów, które dają nocy, co mają najlepszego. W oddali, na prawo, jaśniały na ciemnym tle kolorowe światła. To była Dahabijah Barondi'ego.

Kobiety uśmiechały się, w Londynie, ciesząc się z jej niepowodzenia. Patrząc na linię lamp, miała wrażenie, że patrzy na linię ironicznych oczu, oczu, które jej się przypatrywały i czytały prawdę jej natury.

Zawołała Marie i znowu się przebrała.

Gdy była tam zajęta, Nigel, odprowadzając Barondi'ego do gościnnego pokoju, poszedł na górę i chciał wejść do jej sypialni.

— Nie można! — zawołała.

— Nie zmieniasz chyba sukni?

— Nie mogę jeść obiadu w płóciennnej.

— Lecz my obaj jesteśmy.

— Mężczyznami, a ja jestem kobietą i nie mogłabym jeść obiadu w płóciennnej sukni. Nie przeszkadzaj mi Nigel.

Słyszała, jak mył sobie ręce i wyszedł. Wiedziała bardzo dobrze, że lekki ton, którym mu odpowiedziała, dotknął go i że się „czuł źle”.

Kiedy mały gong oznajmił obiad, zeszła w bledo-żółtej sukni, z pękiem ponsowych kwiatów przy staniku; nie miała na sobie klejnotów, ani żadnej ozdoby we włosach. Kiedy weszła do pokoju, Nigel doznał wrażenia, że to wszedł ktoś zupełnie obcy. Dlaczego? Zadał sobie to pytanie, patrząc na nią uważnie i szukając odpowiedzi. Wyglądała dziwnie, nienormalnie jasno. Czy, pomimo jego przedstawień z rana użyła szminek? Czy białosc jej cery była białszą niż zwykle, albo jej wargi nie czerwienieją? Nie wiedział co uczyniła — a nawet czy uczyniła — lecz czuł się zmieszany, nieswój. Pragnął być sam z Ruby, uzyskać jej przebaczenia za to, że ją uraził z rana. Nienawidził zapory, która była między nimi i czuł, że ją stworzył swą nieufnością. Kobiety są zawsze wrażliwsze niż mężczyźni, a ktoś jest wrażliwszy niż powstająca Magdalena, oioczona nieufnością, ironią, zdziwieniem? Czuli, że tego rana sprzeniewierzył się sam sobie, że tym brakiem wysokiego ideału w postępowaniu, zadał cios drżące cności, która zbierała swe siły, by iść naprzód, w światło.

Podeczas obiadu, każde spojrzenie Ruby, jej ton głosu, suchy, całe zachowanie się, utwierdzały go w uczuciu potępienia siebie. Bez wątpienia, była zmieniona. Znużona i zadumana ko-

bieta, którą pozostawił w ogrodzie, kiedy się udał na dahabijah, ustąpiła miejsca kobiecie ożywionej, świetnej — kobiecie, która mogła być śmiałą, prawie wyzywającą i która może mogła mu odpłacić za boleść, którą jej zadał. Obiad był zupełnie dobry i Mrs. Armine nie miała za co przepraszać.

Barondi grzecznie chwalił kuchnię. Czuli jednak za tą pochwałą ukrytą wielką powściągliwość i przypomniawszy sobie czasy, kiedy jej „chef” był najslawniejszym w Londynie; dostarczył go jakiś milioner, jeden z jej kochanków. Wspomniła o tem Barondi'emu. To był postęp — polity, a w gruncie rzeczy nie była, lecz była powodowana dwoma chęćmi: czuła w swym gościu orientalny, prawie romantyczny podziw dla bogactwa i pragnęła zwrócić ten podziw na siebie, a nadto chciała ukłuć jeszcze więcej Nigla.

— Pan wygląda trochę na epikurejczyka, Mahmond-Barondi — rzekła. — Przypuszczam, że pan słyszał o Armand Carrier?

— O najlepszym „chef” w Europie, Madame? Jak mógłbym o nim nie słyszeć od moich przyjaciół w Paryżu?

— Służył u mnie przed pięciu laty.

Nastąpiła chwila milczenia. Nigel nagle poczerwieniał. Barondi zwrócił powoli swe wielkie oczy z Mrs. Armine na niego i zauważył spokojnie.

— Winszuję państwu. Posiadaliście skarb. Lecz dlaczegoście się z nim rozstali?

Zwrócił się z tem pytaniem do Nigla.

— Nie służył u mnie — rzekł Nigel, z nagłą, prawdziwie angielską sztywnością, która była bliską wyniosłości. — To było dawno, przed naszym małżeństwem.

— Oh! tak. Lecz co za szkoda! A zatem nie miał pan przyjemności jego znakomitych „platr”.

— Nie; nie dbam o takie rzeczy.

— Doprawdy?

Zaczęli rozmawiać o czem innem, lecz Nigel stracił swoją bonhomię i nie mógł jej odzyskać.

Barondi, jako dobry Mahometanin, nie pił wina, lecz kiedy podali owoce, Mrs. Armine wstała.

— Zostawię panów samych — rzekła — zastaniecie mnie na tarasie. Pomimo, że Mahmond-Barondi nie pije, jestem pewna, że woli męską rozmowę, niż kobiecą gadaninę.

Barondi grzecznie, lecz trochę obojętnie zaprzeczył.

— Lecz coby pani powiedziała — dodał — na moje zaproszenie na czarną kawę i likiery do Winter Palace Hotel? Dzisiejszego wieczoru jest tam pierwszy występ węgierskiej orkiestry, którą przeszedł zimy sprowadziłem do Egiptu i która, jak słyszałem — nie jestem może dobrym sędzią zachodniej muzyki — gra bardzo dobrze. Co państwo na to mówią? Czy to byłoby pani przyjemnie, madame?

— Tak, chodźmy! Pójdziemy — zwróciła się do Nigla.

— Naturalnie, jeżeli chcesz. Lecz czy możesz iść w tej sukni?

Skinęła głową.

— Zupełnie sucho na dworze. Wrócę za chwilę.

W óciła, trochę przed dziesiątą we wspaniałym gronostajowym płaszczu, na głowie miała żółty toczek, z wysoką egzeką z boku.

— Jestem gotowa! — zawołała.

— Co za piękny płaszcz! — rzekł Nigel; nie widział go przedtem. Dotknął się go delikatnie palcem i spojrzał na nią, puścił płaszcz i usunął się trochę gwałtownie.

Kiedy weszli do hotelu, muzyka już grała w hali i goście rozdzieleni na małe gromadki, słuchali, siedząc przy stolikach i pijąc turecką kawę. Sezon dopiero się zaczął. Wędrowni rad Nil się nie zaczęła i podróżni nie zawarli jeszcze bliższych stosunków i znajomości. Patrzała na siebie obojętnie, a nawet nie zwracała uwagi, odwracając się od innych plecami lub profilami, zdającymi mówić: „nie chcemy mieć z tobą żadnych stosunków, dopóki nie dowiemy się szczegółów o tobie”.

Wejście towarzystwa z willi Audrond, wywołało silną dywersję. Jak tylko Barondi został spostrzeżony przez służbę, uczynił się ruch na jego przyjęcie. Wysocy Nubijscy, biali i czerwono ubrani, uśmiechali się, sałamowali, ukazując ukontentowanie i chęć, żeby ich zauważył. Hal'porter, niemiec, pospieszył na powitanie, z szerokim uśmiechem na twarzy, dyrygent, rodowity węgier, zaczął grać z zapalem i czarny

gentleman w złotej i szkarłatnej szacie, wyglądający na jakiegoś wschodniego księcia, a w rzeczywistości, zarabiający na życie w kontakcie z windą na pierwsze piętro, przyskoczył do stolika.

Barondi przyjmował te wszystkie atencje z obojętnością, która nie miała w sobie nic z zarozumiałości. Jak siedli, kazał przynieść kaw i likiery, i słuchali muzyki, która była dobrą i posiadała ogień, a zarazem melancholię węgierskich skrzypków. Nigel palił. Wyglądał zaskoczony, nie zaczynał rozmowy i trzymał oczy spuszczone. Mrs. Armine zdawała się także słuchać uważnie, lecz nie upłynęło pięć minut, a już obejrzała bliżej nich siedzących gości, odgadła ich narodowość, skrytykowała suknie i powierzchnowość kobiet, wyrobiła zdanie o towarzyszących im mężczyznach i o węzłach rodzinnych lub sercowych, które ich łączyły. Uczyniła więcej; z wprawą mądrej kobiety, która lata całe żyła w wielkim świecie i w pół świecie, zmierzyła wysokość ciekawości, zainteresowania, podziwu, zazdrości, potępienia, które wzbudziła.

Blisko nich, lecz nie równo z ich stolikiem, trochę za nim, na prawo, siedzieli Lord i Lady Hayman w towarzystwie Lorda i Lady Murchison, bawiących się i lubiących rozrywkę ludzi, których było wszędzie pełno i którzy nie opuszczali nigdy sposobności, gdzie ich „te” mógł być na widoku. Lady Murchison była ładną, mściwą blondynką, rodzaj kobiety, która, zdaje się, ugryzie cię, jeżeli nie zejdziesz z jej drogi. Uśmiechała się teraz złośliwie i szeptała do Lady Hayman, okazale, lecz mocno wyciśniętej osoby z zanadto krwistą cerą, niedostatecznie przykrytej pudrem i z zanadto autokratycznym usposobieniem, za mało miłogowanym przez Lorda Heyman.

Ci ludzie — Mrs. Armine czuła to „w swych kościach” — tylko co czytali „Morning Post”. Tutaj, w Egipcie, przedstawiali „Londyn”. Wiedzieli wyrok Londynu, w ich chłodnych uśmiechach, w chwilach uwagi zwrócony na nią — uwagi twardej, zuchwałej, zimnej jak stal — w spojrzeniach pełnych litości, połączonej z rodzajem prawie uczniowskiej zabawy, które obaj mężczyźni rzucali na Nigla.

Z „Londynu” przeniosła swój wzrok na „Egipt”, którego przedstawicielem był Barondi. Wychodząc za Nigla, pragnęła zdeptać Londyn, który nią pogardzał; miała nadzieję podeptać kiedyś, jako Lady Harwich nie jedną kobietę, którą знаła, zanim została z towarzystwa usunięta. Tajemnie na to liczyła, jako na coś pewnego, na coś, na co trzeba tylko zaczekać. Lord Harwich był zużyty, niedbający o swe zdrowie, podlegający ciągłym wypadkom, ciągle sobie łamiącym kości. Miała tylko czekać. A teraz — bliźnięta chłopcy i cały Londyn się śmieje.

Spojrzała znowu na Barondi'ego. Ognista i melancholijna muzyka porwała ją i uniosła w dół.

Kiedy się skończyła, czuła się daleko od „Londynu”, od dawnych ambicji i nadziei. Wielkie oczy Barondi'ego spoczywały na niej i zdawały się czytać jej myśli i teraz poraz pierwszy uczuła się jakoś nieswoją, pod ich przenikliwym spojrzeniem, pragnęła, czuła potrzebę uciec, ukryć się przed ich czujnością.

— Czy masz już dość muzyki, Nigel — rzekła, jak skrzypki podnieśli głowy z ponad swych instrumentów i opuścili ramiona.

Drgnął.

— Co, Ruby? Na Jowisza! dobrze grał!

W jego oczach był wyraz, jaki ma człowiek, który, po długiej podróży w ciemnościach wraca w dzienne światło. Ta muzyka, postawiła go przy dziewczęciu, które kochał, i które dawno umarło. Teraz patrzył na kobietę, która żyła, do której zwrócił swą wielką siłą miłości, w której tę miłość skoncentrował.

— Możebyśmy wrócili do domu — rzekła.

— Już masz tego dość?

— Nie, nie to, jestem zmęczona — odrzekła.

Mówiąc to umyślnie, choć nieznacznie skierowała jego wzrok na Murchison'ów i Hayman'ów, pozwoliła mu ulitować się nad tem, że jest tak obserwowana i wzięła to za przyczynę jej chęci powrotu do domu. Być może, że to było także przyczyną, lecz nie jedyną i nie taką, jakiej pozwalała się domyślać.

— Zaraz cię wyprowadzę — rzekł Nigel serdecznie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)